Nro 11.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 17 maja 1845. **Rok szósty.**

Wychodzi co druga sobota regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincii dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcii pod nrem 301.; we Lwowie.

MODY.

Paryż, dnia 3 maja 1845.

Stroje damskie. W chwili gdzie tyle różnych pojawia się na suknie materij, słuszna jest zawiadomić nasze czytelniczki, które z nich największą będą miały wziętość, które najlepiej do czego dadzą się zastosować; i tak: na suknie fulary chińskie w kraty lub pasy cieniowane, które nad innemi materiami mają tę wyższość iż pomimo to że się wydają ładnie z wielką łatwością prane być mogą; tak zwana mora królewska jest przepyszną i bogatą materią; materia *pompadour* jedynie do galowego stroju używana; dwukolorowe materie, tudzież pekiny koloru ślazowego, materie w cienie, muszliny smyrneńskie tarlatany wschodnie, także płócienka i batysty chińskie. Do nowości należą także materie glansowane, zielone z czarnem są najwięcej poszukiwane; tkaniny wełniane w pasy atłasowe, które mają tę własność iż suknie z nich są lekkie i nie tak prędko się mną.

Płaszczyki zawsze modne, zawsze jednakowo lubione, wielorakiego są gustu i kształtu; ryps indyjski, mora, materie glansowane używane są pospolicie do tego rodzaju strojów.

Z sukień najwięcej godne wspomnienia są następujące: suknia z materii *poult de soie*, przystrojona fartuszkiem z czarnych korunek; z stanikiem gładkim, również korunkami ubranym; rękawy obcisłe z czarnemi korunkowemi mankietkami. Suknia z materii jedwabnej koloru niebieskiego w cienie, której spodnica ubrana w przodzie pasamonikami w kształcie podłużnych obrączek ukośnie układanych, a które do sukni przymocowane są jedwabnemi guzami tegoż samego co i suknia koloru; stanik wysoko zachodzący z ubraniem takiem samem jak przy spodnicy, rękawy gładkie, aż po łokieć na guziki zapinane. Suknia z mory popielatego koloru, której spodnica ubrana w przodzie rzędem dużych stalowych guzików; stanik u tej sukni gładki, spięty przez całą swą długość zprzodu rzędem guzików które stanowią ciąg dalszy garnirowania spodnicy; rękawy proste, półdługie, z szerokim wyłogiem i trzema guzikami; drugie rękawy muszlinowe z korunkowemi mankietkami.

Redyngociki z białego bareżu uważane są bardzo słusznie za strój gustowny i szlachetny; podszywają się one liliową, różową lub błękitną kitajką; a obszywane bywają frędzlami lub lamówkami przewlekanemi wstążkami tego koloru co podszewka.

Kapelusze z korunkowych pasamoników coraz się więcej podobają, i coraz widać ich więcej; mimo to jednak lubione są słomki przezroczyste jako bardzo stosowne do tej pory roku. Co się zaś tyczy kapotek, tych najwięcej widzieć można z krepy lub innej jakiej materii koloru jasno-zielonego; i w ogólności powiedzieć można że kolor zielony jest tego roku panujący.

Kapelusze z przezroczystej słomki mają za najzwyklejszy ustrój szarfę koloru bławatowego, podszyte są także grodenaplem tego samego koloru.

Zauważaliśmy iż bardzo dobrze się wydają przy białych kapotkach duże piwonie, bukiety z kwiatu *dalia* lub róż tureckich.

Stroje męskie. Kamizelki w guście napoleońskim bardzo są poszukiwane; krój ich jest prosty: zapinają się aż pod szyję, kołnierz mają wykładany, poły są na kilka cali szerokie a wycięte zprzodu okrągło.

Spodnie ulubione są z lampasami po bokach; krój ich jest bardzo szeroki; w jednej z następnych rycin damy ich wzór.

R y c i n a   p r z e d s t a w i a: amazonkę z półsukna francuzko-czarnego, wyłożenie kołnierza i klap jest

mory; kapelusz kastrowy z welonem korunkowym. Druga suknia jedwabna z podwójną falbaną w ząbki dziergane, stanik wysoki z podwójną bertą, kapelusz jedwabny korunkami i kwiatami ubrany. Trzeci szlafroczek z *gros d'Afrique*, spodnica korunkami obszyta, stanik poniżej bioder spadający, wkoło korunkami obszyty, kapelusz jedwabny, również korunkami ubrany. Tudzież twina o jednym rzędzie guzików, i takiż frak od przechadzki. Spodnie z lampasami czarnemi.

Wspomnienie z podróży

PRZEZ

WINCENTEGO POLA.

Słońce chyliło się ku zachodowi: po Elbie płynące statki przybijały do brzegu; lekkie dymy przeciągnęły się po przedmieściach Drezna, i cicho było na brylowskim terasie. Ponad drogą, która się od Nowegomiasta przewija malowniczo ku saskiej Szwajcarii, pomiędzy ogrodami i mnóstwem ozdobnych wiejskich mieszkań, wznosił się tuman kurzu, w ponsowem świetle zachodzącego słońca. Powozy powracały z dalszych wycieczek do miasta, i długi szereg jezdnych i pieszych, przemykał się po przepysznym moście, który łączy śmiałemi łukami Nowemiasto z Dreznem. Na samym jednak brylowskim terasie nie było nikogo, i cały ten piękny widok, miał w sobie tę spokojność i to pewne oddalenie poruszonych w nim przedmiotów, które nieraz daje podobieństwo widokom natury do olbrzymich obrazów i tem więcej zajmujących, że tylko ujętych w ramę źrenicy i ducha. Byłato jedna z takich chwil w życiu, które tajemnym jakimś urokiem tak bardzo pociągają ku sobie, że o nich już nigdy zapomnieć nie można; chociaż trudno jest z tego uroku i sobie i drugim zdać sprawę. Byłato chwila, w której dusza przyjmuje cierpliwie wrażenia, szukając w widoku natury i świata, nieświadomie, ukojenia dla siebie....

Długo stałem wszystek zatopiony w tym widoku i tak mi dobrze było, bom się czuł samotnym; bom odetchnął po wrzawie miejskiej na chwilę, i mógłem powrócić do tych myśli i uczuć, z których mnie obierało towarzystwo ludzi.

Długo sądziłem żem był sam jeden na terasie; wtem spojrzawszy na stronę, ujrzałem w niejakiem oddaleniu, o drzewo opartego człowieka. Z splecionemi na piersiach rękoma, wlepił ponuro nieruchomy wzrok w jakiś odległy przedmiot okolicy, a z całej jego postawy widać to było, i z tego zaniedbania, z jakiem stał o drzewo oparty, że był mocno zadumany i że się niedopiero zadumał. Cała twarz i postawa jego zajęła mnie mocno. Miał czarny, axamitny kolet na sobie i takiż biret na głowie, a krój jego sukni przypominał lekko, jakiś strój staroniemiecki. Miał czarne, długie włosy, takież wąsy i wielką hiszpańską brodę; twarz jego była bardzo blada, a cały fantastyczny układ jego stroju i postawy nie miał pomimoto nic rażącego w sobie. Nie byłto kostium, ale powszedni ubior człowieka, w dziwnej zgodzie z wyrazem całej jego twarzy, który tak często cechuje artystów, zwłaszcza w młodszym ich wieku.

Długo patrzałem na niego, i on też postrzegł mnie po chwili; sprostował się nagle i przystąpił ku mnie raźno, jakoby chciał we mnie powitać znajomego. Spojrzeliśmy sobie długo i spokojnie w oczy, niemówiąc nic do siebie....

— Waćpan omyliłeś się zapewnie? rzekłem w końcu; bom uczuł, nie wiem dla czego, że się bez słów nie rozstaniem z sobą.

— Nie, nie omyliłem się... rzekł mi; i piękne jego oczy ożywiły się jakąś dziwną otwartością.

— Ja nie przypominam sobie...

— I ja nie!...

— Więc cóż? zapytałem...

— Zdaje mi się, że kiedy się nie znamy, toby się nam poznać warto. Ja jestem malarzem a waćpan jesteś artystą.

— Jakto? czy ja jestem malarzem?...

— Malarzem, czy rzeźbiarzem, to dla mnie jedno! byle piękna dusza, byle artysta!

— Proszę mi wierzyć, że nie jestem ani malarzem ani rzeźbiarzem....

— To nic nie szkodzi... my się rozumiem; jeżeli nie jesteś artystą, musisz być Polakiem... każda Polka którą aż dotąd poznałem, była gracią i czemś więcej jak grecką gracią; a z was każdy jest żołnierzem. Siła i gracia, to życie, to daje natchnienie; a więcej pono znaczy być artystą w życiu, niż artystą w sztuce.... My się rozumiem! gdybym był Polakiem, nie byłbym pewno malarzem....

— Źle waćpan mówisz, rzekłem; my się nie mamy potrzeby porozumiewać z sobą, bośmy się już zrozumieli....

— Dobrze więc, rzekł mi... ścisnął za rękę i powiódł nad brzeg wyniosłego terasu który ku Elbie spadał, i wskazał ręką na piękną okolicę położoną za Elbą.... Coza prześliczna okolica! a sądzisz, że prócz nas dwoch, jest kto więcej w tej chwili coby widział i czuł jej piękność i ten zachód słońca? Ci tam, co w tych powozach jadą w tym kurzu za gościńcem, ziewają z znudów, i myślą o tem jak zabić

przyjdzie wieczór, kiedy dziś włoskiej nie ma opery. To mrowie co tam po tym moście pełza, myśli tylko o tem jakby się dostać co prędzej do domu, gdzie na nich czeka wieczerza, a ci flisacy na łodziach nie widzą w tej Elbie nic więcej, prócz wody; w tym brzegu, nic więcej prócz miejsca na nocleg dla siebie; a patrząc na zachodzące słońce, myślą sobie zapewne że noc będzie i że się dobrze przespać warto! Niechże mi tu ktoś potem powie, że życie jest najlepszem modelem dla sztuki? A przecież jestto wszystko razem ogrzane w sercu i odrodzone w duszy tak prześliczne, tak urocze, tak prawdziwe, że obraz tego odrodzenia staje się rzeczywistością, koniecznością która artystę zmusza do wydania go światu w czystych barwach ideału, która go zapala jak miłość, która mu spać nie daje jak zgryzota sumienia, która go robi twórcą lub mu daje śmierć.

Rozmowa nasza szła bardzo żywo i fantastycznie. Umysł nasz przerzucał się nagle z przedmiotu na przedmiot z tym niszczącym dusz młodych niepokojem, który jak ogień chwyta wszystko i trawi, nic nie zostawiając po sobie, prócz chwilowego żaru w duszy. Mówiliśmy o sztuce, o literaturze, o historii, o życiu i miłości, o podróżach i poezii, o niebie Rafaela, o piekle Dantego, o sądzie ostatecznym Michała Aniola i o ostatecznym sądzie historii, o północnej lutni Ossiana, o ponurym *Jean Paul'u*, o bitwach Napoleona, o Talmie, o pani Stael i o fiziognomiach vernetowskich koni. Mówiliśmy o ideałach Szyllera, o posągach Kanowy i Fauście Goethego.

Mówiliśmy o włoskiem niebie, o raju utraconym Miltona i o raju utraconym w sercu człowieka... mówiliśmy o Wenecii i Rzymie, o alpejskich okolicach i cichych widokach chłodnej północy. Płynęliśmy z Bajronem do Grecii przez Helespont... byliśmy przy zdobyciu Misolungii i w późniejszych jeszcze bitwach od oblężenia Missolungi. A to wszystko mijało tak szybko w rozmowie, że te świecące punkta sztuki, historii, literatury były niby jedynie tonami muzykalnej fantazii, która właściwie świadczyła tylko o stanie naszych umysłów....

Płomienna byłato dusza w tym malarzu, choć był rodem z północy, znad chłodnych jezior Hanoweru. Wyniósł on czysty, pełen natchnienia umysł z ojczyzny, pokochał miłością południowego nieba sztukę we Włoszech; a w Dreznie pokochał sercem artysty piękną Polkę, z którą razem czytywał, malował podróżował i bujał po niebiosach.

Drezdeńskie zegary wybiły północ i chłód powiał od Elby doliną wzdłuż brylowskiego terasu, gdyśmy w rozmowie naszej przechodzili rozkosze i boleści serca. On mówił z uniesieniem o błękitnych oczach pięknej Polki i o chwili w której się przed rokiem z nią rozstał; a ja myślałem o owej dalekiej wiosce na Rusi, którą obsiadły dąbrowy dokoła, a jakby jakieś odległe echo grały mi w duszy słowa owej piosnki:

> Do niej tęsknię z wieczora,
> Z ranną jutrznią zapłaczę:
> Bom pożegnał nie wczora
> I nie jutro obaczę.

Rozmowa ucichła w końcu, każdy z nas pogrążony w swoich własnych myślach i uczuciach postępował dalej; nie wiedząc prawie, zeszliśmy z terasu i ujrzeliśmy się u drzwi pięknego kościoła. W roztargnieniu, nie rzekłszy ani słowa, ścisnął mój towarzysz mnie lekko za rękę i znikł po chwili w ciemnościach ulicy. Jak zbliżenie się nasze do siebie, tak rozstanie się miało coś szczególniejszego w sobie, i snem wydało mi się to wszystko, gdy mnie nazajutrz obudził dopiero huk bębnów, zaciągających żołnierzy na wartę, około południa. Zdało się, że się nasza znajomość na tem jednem widzeniu zakończy, bo ani jam go nie zapytał o jego nazwisko, ani on mnie o moje.

W pare dni poźniej byłem w galerii obrazów, z której zawsze wynosiłem ból oczu i głowy; upojony nadmiarem tylu przedmiotów, ułożyłem sobie w końcu poświęcać codziennie tylko pewną chwilę opatrywaniu obrazów i nie zajmować się, jak tylko widokiem jednego, lub kilku malowideł. W jednej sali zastałem Angielkę którą zawszem tam widywał, zajętą kopiowaniem obrazów; w drugiej dwoch pruskich oficerów, którym przewodniczył jakiś wywiędły estetyk. Ci dręczyli mię oklepanemi frazesami, exaltując się widokiem madony Rafaela; a wywiędły estetyk tłómaczył im, trzymając wielkie szkło powiększające w ręku, piękności obrazu, w długich okresach, zamglonych filozofią berlińską. Pocieszna byłato prelekcia, która po chwili jeszcze kilku innych ściągnęła słuchaczy. Estetyk dowodził: iż Rafael przeczuł w natchnieniu swojem, to wysokie stanowisko na którem dziś stanęła filozofia, i doszedł na drodze uczucia i na drodze tajemnicy kolorytu, tam, gdzie dziś filozofia doszła, na drodze wiedzy. Typ madony był tylko symbolem dla niego; byłto, jak nasz wielki Göthe powiada, »welon poezii, rzucony z rąk prawdy wieczystej.« A temwięcej przychodzi podziwiać Rafaela, iż napojony przesądami swojego wieku i wyznania, przeczuł jednak postęp ludzkości, który dla świata gotowała feformacia.

Tu wyskoczył nagle z koła słuchaczy młody człowiek, któregom dotąd nie był spostrzegł, bom się odwrócił do okna, wyglądając chwili, w której estetyk,

swoją perorę zakończy; uderzył go po ramieniu i zawołał:

— Tak! wielki Rafael i Göthe wielki! a może i waćpan który ożywiony jesteś duchem reformacyi a ja waćpanu przecież powiadam, że żaden estetyk nie wnijdzie do królestwa niebieskiego. Był to malarz, któregom poznał owego wieczora na bryłowskim terasie. Wyrzekł to z uczuciem wielkiej zniewagi; estetyk odskoczył, a jeden z przytomnych oficerów, miał minę, jak gdyby chciał żądać tłómaczenia. Bez urazy mój panie! rzekł mu malarz; wam się moi panowie należy jeszcze coś więcej za wasze bluźnierstwo; przysłuchuję wam się od dawna. Oszpeciliście ten obraz waszemi uwagami i wydarliście klejnot z mej duszy! Jam znał istotę, co się tu tylko modlić przychodziła, kiedy nie było nikogo. Rafael malował dla kościoła; przenieście ten obraz do Rzymu, umieśćcie go w kościele, a dopiero nabierze prawdziwego znaczenia i będzie mógł być pojęty; ale nie przez was, lecz przez tych którzy tam czerpią ducha, gdzie go Rafael czerpał! Rafael nie malował ani dla poruczników gwardii, ani dla profesorów berlińskich, i nie sądził zapewne, że się znajdzie w tak złem towarzystwie, jak go dziś widzę. Pójdźmy ztąd, rzekł, biorąc mnie za rękę; otożto i korzyść kiedy się święte rzeczy umieszcza w galeriach profanów.

— Pójdźmy ztąd! bo tu bóg bez czci, a geniusz na wygnaniu!...

Zdziwieni stali panowie porucznicy, z osłupienia swego nie mógł przyjść do siebie estetyk. Ja posiadając klucz do tajemnic tej ognistej duszy, pojąłem go i to co mówił. Porwał mnie ze sobą; od drzwi sali powrócił, i rzekł do estetyka: Pana nie mogłem obrazić bo pan jesteś estetykiem, a ja artystą, i pan sobie po swojemu wytłómaczysz te rzeczy przy wolniejszym czasie....

— Lecz co do panów, dodał obracając się do poruczników, cieszyłbym się bardzo tem, gdybyście się obrazić chcieli... i cisnął im swoją kartę pod nogi....

Od tego czasu widywaliśmy się prawie codziennie w galerii obrazów. Obok chwili zapału i uniesienia, bywały także chwile chłodnej rozwagi i cichego rozrzewnienia. Obieraliśmy godziny, w których mało kto, albo nikt nie bywał w galerii, i przeszliśmy po kolei razem wszystkie szkoły i sale. Były jednak obrazy, o których nic nie umiał powiedzieć, pomimo wielkiej znajomości rzeczy, a to były właśnie originały największej wartości. Wówczas obrał mi tylko punkt widzenia, postawił mnie w nim, a sam przechadzał się po sali i nucił sobie coś z symfonii Bethowena, garnąc włosy od czoła.

Pojmuję, rzekł mi raz, gdyśmy stali przed obrazem nocy Corregia; pojmuję dla czego Bajron tak różę lubił, zapewne dla tego, dla czego ja nie cierpię peonii i tych flamandzkich obrazów. Powiedz mi waćpan dla czego ten obraz nazwano nocą? wszakże i dzień nie ma już nic światlejszego, jak to jasne, święte dziecię... jak ta światłość, która z niego na świat wypłynęła i wypływa jeszcze ciągle....

To nie jest noc! to jest dzień, i najpiękniejszy dzień Corregia!...

A przy madonie *del Sixto* rzekł mi raz: Mnie ten obraz trzyma w Dreznie, nie wiem co pocznę jak się z nim rozstać przyjdzie. My się dziś chwalimy, że znamy diabła w muzyce, że znamy szatana i całą ironię piekła; jakgdyby go już w życiu zabrakło, tchnie wszystko apoteozą szatana w sztuce i literaturze, ja sam mam tego diabła w sobie... a z westchnieniem dodał... my znamy piekło; oni znali niebo i anioły! Jedno spojrzenie na ten obraz wypędza ze mnie diabła jak exorcyzm.

— Czyś waćpan katolik? zapytałem go....

— Co za dziwne pytanie!... wszakże jestem malarzem, i zostałem nim w Rzymie, i kocham Polkę! rzekł mi, i oddalił się z niesmakiem....

Ciąg dalszy nastąpi.

Do Marii.

Zniknęłaś! śledzi ciebie nadaremnie oko,
Zniknęłaś jakby gniewna że cię nie pojęto:
A przecież drżącem sercem, pokorą głęboką,
Ja ciebie między nami wielbiłem jak świętą!

Nie śmiałem podnieść oczu, plamić cię spojrzeniem,
Tłumiłem oddech, aby nie unieść westchnieniem,
I żebyś, górnych krain mieszkanko skrzydlata,
W westchnieniu nie spłynęła do wyższego świata.

Któraż się dzisiaj tobą pyszni okolica?
Gdzie żyją zasłużeni by ciebie dostali?
Czyś ubiegła na śrebrnym promyku xiężyca?
Czy na powietrza spiewem poruszonej fali?...

Pomiędzy ktorych oko poniosłaś ty ludzi,
Tam panują dziś spiewy i łzy i pociecha:
Tak ziemia, gdy ją słońce wschodząc ze snu budzi,
Z radości płacze rosą i kwiatem uśmiecha.

Ale mnie... odkąd brakło pośród nas anioła,
Gwiazdy ciemniej na niebios przyświecają czole,
I skrzydlatej muzyki pieśń już niewesoła,
I smutkiem pożółkniało zielone Podole.

Młody... stanąłem w dobę wiekiem pochylony,
Bo burzliwej są treści mego serca dzieje!...
Kiedyż znowu, jak wiosna zawitasz w te strony,
I kiedyż widząc ciebie szczęściem rozmłodnieję?...

16 grudnia 1845. *Celestyn W.*

POJEDYNEK W GREAT WINGLEBURY.

ZDARZENIE PRAWDZIWE

Z ANGIELSKIEGO DICKENSA.

Ciąg dalszy.

Londyńskim dyližansem przybyła dama, zaledwie wprowadzoną została do numeru 25, i zrzuciła podróżną salopę, gdy również usiadła aby napisać bilet do Józefa Overton Esquire, prokuratora i burmistrza w Great-Winglebury, w którym wzywała go aby natychmiast w bardzo ważnej okoliczności raczył się do niej udać. Pan Overton niemało został zdziwiony odbierając ten bilet, nie wahał się jednakže i chwili, a w dziesięć minut poźniej wprowadzony został pod nr. 25. Bogato ubrana, około czterdziestu lat mająca dama podniosła się z sofy. Burmistrz na jej widok stanął jak przykuty na dwa kroki przededrzwiami, i oboje patrzyli na siebie zadziwionemi oczami.

— Miss Julia Manners! zawołał wreszcie burmistrz: pani mię w najwyższe wprawiasz zadziwienie.

— To rzecz niesłuszna z twej strony Overton, gdyž ja znam cię już dość długo aby niedziwić się niczemu co ty czynisz, zdaje mi się iž tej samej grzeczności mogłabym słusznie wymagać od pana.

— Alež wykradać się w całem znaczeniu tego wyrazu wykradać się... z młodym człowiekiem, odrzekł burmistrz.

— Wszak nieżyczyłbyś mi abym się ze starym wykradła, niedbale odpowiedziała miss Julia.

— I jeszcze odemnie wymagać, wprost odemnie, człowieka mojego wieku, burmistrza miasta; odemnie żądać coś podobnego! zawołał Józef Overton z nieukontentowaną miną, rzucił się na krzesło, wyjął z kieszeni list miss Manners, aby raz jeszcze przekonać się czyli dobrze przeczytał i zrozumiał.

— Overton, wyrzekła dama z niecierpliwością, potrzebuję twojej pomocy, i musisz mi jej udzielić. Za życia dobrego starego pana Cornburry, który... który....

— Który panią chciał poślubić i tego nieuczynił gdyž umarł, a cały swój majątek bez uciążliwego dodatku swej osoby jej pozostawił, dodał burmistrz w sarkastycznym tonie.

— Overton! kończyła dalej miss Julia lekko zarumieniona tą przerwą, za życia dobrego starego Cornburry, ciężyła na jego majątku znana z uciążliwości taxa, z twojego zarządu; doprawdy rzecz dziwna iž zamiast majątku, jego właściciel umarł na suchoty. W tedy pomagałeś sobie... teraz mnie pomóż....

Pan Józef Overton był człowiekiem znającym świat i prawo; pewne ciemne przypomnienia o kilku tysiącach funtów szterlingów, które błędnie zawędrowały do jego kieszeni, przedstawiły się naraz myśli jego, odkaszlnął, uśmiechnął się, milczał przez parę minut a nakoniec zapytał....

— Czegož pani żąda odemnie?

— To w dwoch słowach opowiem, odrzekła miss Julia. Kochany lord Peter....

— A, ten sam młody człowiek nieprawdaž? zagadnął znowu burmistrz.

— Młody *gentleman*, przerwała dama z mocnym wyrazem; lord Peter obawiał się mocno gniewu swej rodziny, i dla tego uznaliśmy za rzecz doradną tajemnie się poślubić. Opuścil on Londyn pod pozorem odwidzenia swojego przyjaciela lorda Augusta Flaix, ztąd o mil kilkanaście w wiejskiej jego posiadłości, i wziął z sobą tylko zaufanego kamerdynera. Ja stosownie do naszego układu przybyłam sama jedna dyližansem do Winglebury, a on dziś po południu miał tu już stanąć.

— Przewybornie; teraz tylko wypada wziąść konie pocztowe i udać się do Gretna-Green, a pomoc trzeciej osoby wcale tu niepotrzebna. Uczynił uwagę pan Overton.

— Przeciwnie, odrzekła miss Julia, mam wszelkie powody do mniemania... gdy kochany lord Peter u swoich krewnych nie uchodzi za zbyt roztropnego, i gdy oni skłonność jego dla mnie już zwietrzyli... že natychmiast ścigać nas będą w tym kierunku, skoro tylko o oddaleniu się jego dowiedzą; więc aby zniweczyć ten plan ścigania nas, życzeniem jest mojem, rozgłosić w tym domu že lord Peter cierpi pomieszanie zmysłów, lecz wcale nie jest niebespiecznym, a ja oczekuję na niego aby go odwieść do Bervik, w dozór tamtejszego lekarza obłąkanych, to wszystko stać się ma niby bez wiedzy, a gdy ja niebędę się tu zbyt pokazywać, ujdę može za jego matkę.

Burmistrz pomyślał sobie w duchu, že miss Julia mogłaby się najbezpieczniej ukazywać oczom wszystkich bez wszelkiej obawy posądzenia, gdyž dwa razy tyle miała lat co jej przyszły narzeczony. Zamilkł jednakže, a dama tak dalej mówiła.

— Wszystko to już z kochanym lordem Pater, ułożyliśmy; nieżądam nic więcej od pana jak tylko abyś powagą twojego urzędu potwierdził to niewinne nasze oszukaństwo, oznajmując gospodarstwu tej oberzy powód mojej tu bytności. A ponieważ niezgadzałoby się z ułożoną przez nas bajeczką bym ja widziała się w tym domu z lordem Peter, wprzód nim tenže wsiędzie do dyližansu, žądam więc jeszcze abyś się pan udał do niego i oznajmił mu že wszystko pójdzie dobrze.

— Czy on już jest tutaj? zapytał Overton.

— Niewiem tego, odpowiedziała dama.

— Jakże więc ja dowiem się o tem? on, jak rzecz naturalna przybierze inne nazwisko.

— Prosiłam go aby skoro tylko przybędzie uwiadomił pana biletem, wymieniając numer swej izby, a dla bezpieczeństwa w tajemniczych tłumaczył się wyrazach i bezimiennie.

— O nieba! zawołał burmistrz, powstał nagle i przetrząsnął swoje kieszenie; dziwny zbieg rzeczy... on już w istocie jest tutaj... jego tajemniczy bilet odebrałem właśnie przed biletem pani, niewiedziałem jednak co mam z nim zrobić... lecz oto właśnie... jestżeto pismo ręki jego wysokości? zapytał Overton, podając damie z biedą wyszukany w kieszeni bilet pana Eugeniusza Trott.

— O kochany, punktualny człowiek! zawołała miss Julia. Tak, jego to jest ręka; wprawdzie raz tylko podobnoś czy dwa czytałam jego pismo, wiem jednakże iż pisze niewyraźnie, rozwlekle, i niezbyt dowcipnie w wyrażeniu swych myśli. Wszak wiesz Overtonie, ci kochani, niedbali młodzi *gentlemenowie*....

— O tak, tak, przerwał burmistrz, konie i psy, gra i wino, żokieje, baletniczki i cygara... kursa i tualeta, bordell i Tawerna a nakoniec prawodawczy senat... gdzie tu jest czas na co innego. Lecz posłuchaj pani co on pisze.... Sir! młody *gentelmen* zpod nru. 19. w Winglebury-Wappen zamyśla jutro skoro świt popełnić zbyt nierozsądną czynność; (bardzo dobrze, to ma znaczyć ożenić się chciał powiedzieć) jeżeli obchodzi pana spokojność miasta, zachowanie życia jednej lub może dwóch istot ludzkich.... Cóż u licha rozumie on przez to?

— Iż on tak namiętnie pragnie przyspieszyć chwilę naszego zaślubienia, iż umrzeć gotów, gdy ta odwleczoną zostanie, i że ja również może tego nieprzeżyję; odrzekła dama z wielkiem zadowoleniem.

— A tak... jabym przecie zato ostatnie nie ręczył. Lecz słuchaj pani co dalej... dwoch istot ludzkich, to postarasz się o oddalenie tego młodego człowieka jeszcze nocy dzisiejszej. Nieobawiaj się działać na odpowiedzialność twoją, gdyż jutro przekonasz się iż to było niezbędną koniecznością. Niezapomnij numer 19, nazwisko młodego człowieka jest Trott. Nie masz i chwili do stracenia... śmierć lub życie zawisło od twego pośpiechu. — Namiętna mowa.... mamże się natychmiast udać do niego?...

— A tak, tak, odrzekła miss Julia; poleć mu przytem aby rolę swoją dobrze odegrał, aby z roztropnością działał.

— Uczynię według rozkazu, rzekł powstając burmistrz.

— Ułóżcie wszystko jak najlepiej.

— Zdaje mi się że najstosowniej będzie, pocztowe konie na pierwszą po połnocy zamówić.

— Doskonale, rzekł burmistrz, pożegnał się z damą, a przeklinając w duchu niesmaczną rolę którą mu okoliczność i dawna znajomość odgrywać kazała, zawołał kelnera i kazał zameldować się panu pod numer 19.

Kelner wypełnił natychmiast rozkaz.

Pan Eugeniusz Trott, gdy mu oznajmiono iż jakiś obcy pan chce z nim pomówić, postawił nazad szklankę z płynem którą już do ust swoich podnosił, wstał spieszno, i zbliżył się do okna, jak gdyby przezto chciał sobie utorować wolne na wszelki przypadek przejście, jeżeliby straszliwy Horaciusz Hunter stanął przed nim we własnej osobie. Skoro jednakże ujrzał spokojną postać Józefa Overton, znikły jego obawy, jak najgrzeczniej przysunął nieznajomemu panu krzesło, kelner oddalił się, Overton położył swój szeroki kapelusz na stronie, i przemówił cichym ostrożnym głosem.

— Milord....

— Jak to... milord? zawołał pan Eugeniusz Trott bardzo głośno, wlepiając zdziwiony i osłupiały wzrok w przychodnia.

— Pst... pst... wyrzekł ostrożny prawnik... rozumiem już... dobrze, dobrze... żadnego tytułu tutaj... jestem Overton, sir.

— Overton!...

— Tak jest miejscowy burmistrz... pan to przysłałeś mi bezimienny bilecik.

— Ja sir? zawołał Trott ze źle udanem zadziwieniem, bo jakkolwiek był tchórzem, chętnie chciałby był zaprzeć się swojego pisma, Ja sir?...

— A tak, sir, sir... czyliż tak niejest? odparł Overton nieukontentowany tym, jak mu się zdawało, dowodem za daleko posuniętej nieufności. Ten bilet, tu wyciągnął papier z kieszeni, pochodzi od pana albo nie. Jeżeli od pana, to możemy natychmiast mówić o rzeczy z zupełnem bezpieczeństwem... w innym razie, jak rzecz naturalna nie mam tu nic więcej do czynienia.

— O błagam pana zatrzymać się przecież na chwilę, wybąknął Trott; tak... odemnie to pismo... coż mi czynić pozostało sir? Niemam tu żadnego przyjaciela.

— Nic lepszego niemogłeś pan uczynić, odrzekł burmistrz tonem zachęcenia. Teraz wypada panu tej jeszcze nocy odjechać pocztowemi końmi, a im prę-

dzej tem lepiej. Tutaj niejesteś pan bezpieczny od pogoni.

— Wielki boże! jestżeto rzeczą do prawdy podobną, aby w takim kraju jak Anglia coś podobnego się działo, zawołał Trott, w niewypowiedzianej trwodze. Jakiż nieprzebłagany duch prześladowania! przy tych słowach otarł z czoła zkoncentrowaną na temże essencię tchórzostwa i przestraszony wzrok swój wlepił w Overtona.

— Istotnie, rzecz to arcynieprzyjemna, wyrzekł z uśmiechem burmistrz, aby parka ludzi w kraju tak wolnym jak Anglia nie mogła się pobrać bez przeszkody. Jednak w przypadku o którym mowa, jak pan wiesz dobrze, dama chętnie przyzwala, a to zawsze jest rzeczą główną.

— Dama chętnie przyzwala! powtórzył Trott mechanicznie, a zkądże pan wiesz o tem iż dama przyzwala nato?...

— Ach żarty; wyrzekł burmistrz w tonie poufnym, uderzając z lekka po ramieniu Trotta, swym szeroko brzeżnym kapeluszem; znam ja ją dobrze i to od dawna, gdyby kto o tem mógł powątpiewać to ja bynajmniej, i pan najmniejszej nie powinieneś mieć w tym względzie obawy.

— Hm, hm... tak, tak, pomruknął Trott gubiąc się w domysłach, rzecz to szczególna... zupełnie niedocieczona.

— Proszę cię milordzie Peter, rzekł burmistrz powstając; ach, zapomniałem. Tak dobrze, panie Trott, więc... przedziwnie... ha ha, ha!... Sir, dyliżans pocztowy będzie o wpół do pierwszej w pogotowiu.

— A coż dalej stanie się ze mną? zapytał Trott niespokojnie; czyliż nie wypada udawać jakobym ulegał przemocy i był strzeżony pilnie.

— Ach przewyborna myśl... w rzeczy samej wyśmienita myśl, zawołał Overton, idę natychmiast i przyślę tu kogo. To wcale niezaszkodzi... tak... opieraj się pan trochę gdy cię do dyliżansu wsadzać będziemy, jak gdybyś wcale jechać niechciał.

— Zupełną masz pan słuszność, odrzekł Trott.

— Milordzie, cichym głosem wymowił Overton, życzę waszej wysokości dobrej nocy! do zobaczenia.

— Wy... wysokości! zawołał znowu Trott, cofając się wtył parę kroków i w niewypowiedzianem zadziwieniu zmierzył od stóp do głów burmistrza zabierającego się do wyjścia.

— Ha, ha, ha! widzisz milordzie... przewybornie, ćwiczysz się w roli szalonego tak?... W rzeczy samej, bardzo dobrze, wzrok osłupiały... kapitalnie, milordzie kapitalnie... dobra noc panie... Trott... ha, ha, ha!

— Burmistrz widocznie na zabój spity, rzekł Trott sam do siebie, i rzucił się w zamyśleniu na sofę.

— Przebieglejszy chłopak, ten młody *gentlemen*, niżelim się tego mógł spodziewać. Diabelnie dobrze udaje wariata; pomyślał Overton, udając się do szynkownej izby aby dalsze poczynić rozporządzenia. Te wkrótce zostały uskutecznione. Ułożona powiastka znalazła zupełną wiarę w całym domu, a jednooki stróż oberzy odebrał natychmiast rozkaz udania się pod nr. 19. i aż do wpół do pierwszej po północy pilnowania mniemanego wariata w jego izbie. Nieco oryginalny w swoim rodzaju stróż, uzbroił się w grubą laskę i ze zwykłą sobie obojętnością udał się do izby pana Trott; wszedłszy tam bez ceremonii, usiadł sobie spokojnie na stołku opartym o drzwi wchodowe, i począł dla rozrywki, uradowany niby swoją ważną rolą, gwizdać jakąś piosenkę.

— Czego chcesz tutaj ty łotrze? zawołał na niego pan Eugeniusz Trott, z dobrze udanym gniewem.

Stróż podniósł w górę jedno swoje oko, uśmiechnął się z wyrazem politowania a wybijając takt głową zagwizdał w Adagio... tempo.

— Czy tu jesteś na rozkaz pana Overton? zapytał Trott nieco zdziwiony szczególnym postępowaniem tego człowieka.

— Troskaj się sam o siebie mój rybeńku i niemów nic do nikogo; odparł stróż i znowu zaczął gwizdać.

— Słuchaj! zawołał Trott, który swoją rolę chciał do końca odegrać, jak gdyby pragnął koniecznie pojedynku, gdyby mu tylko przeszkadzać do tego niechciano; ja protestuję przeciwko mojemu uwięzieniu na tem miejscu; zaprzeczam zamiar mój jakobym się miał skim pojedynkować, i tylko jedynie dlatego iż byłoby daremnie walczyć przeciw przemocy będę siedział spokojnie.

— Jak się wam podoba, uczynił uwagę powabny stróż, podnosząc z znaczącym gestem swoją laskę.

— Ja jednakże protestuję przeciwko temu, dodał Trott, z udanem nieukontentowaniem na twarzy, a wielką radością w sercu; ja protestuję przeciwko temu.

— Jak się wam podoba; powtórzył znowu stróż, to mnie wszystko jedno....

— Ten urwisz pewno spity!

— Siedź spokojnie mój rybeńko, wymówił z powagą stróż, i z grożącą niedozapoznania mimiką wywinął w powietrze swą grubą laską.

— Albo wariat! mówił dalej Trott, nieco niespokojny.... Idź sobie ztąd człowieku, i powiedz tam na dole, niechaj tu przyszlą kogo innego kiedy im się podoba.

— Siedź spokojnie i nic niegadaj, odrzekł stróż.

— Idź ztąd precz natychmiast! zawołał Trott i zadzwonił gwałtownie, przerażony tem nowego rodzaju niebezpieczeństwem.

— Nieruszaj dzwonka ty nędzny szaleńcze! wykrzyknął stróż, pchnął nieszczęśliwego Trotta na krzesło i wstrząsnął groźnie laską przed okiem jego, siedź spokojnie ty biedne stworzenie i nierób hałasu, trzebaż aby się cały świat dowiedział że w domu mamy wariata.

— Dla boga, dla boga, on doprawdy wariat! wykrzyknął przerażony Trott, patrząc z niewypowiedzianym przestrachem na jednookiego rudowłosego stróża.

— Niech mię diabli porwą, mruknął stróż, to taki nie żartem wariat.

— Słuchaj mię ty nieszczęśliwa istoto, aha, znowu swoje.... i zlekka uderzył pana Trott po głowie, gdy biedny chciał powstać jak się zdawało w zamiarze powtórnego zadzwonienia, chciałeś swoje powtórzyć, aleś ptaszku na uczynku złapany... siedź tu siedź.

— Oszczędź moje życie! zawołał Trott wznosząc ręce do góry z błagalnym gestem.

— A mnież na licho tego, odrzekł pogardliwie stróż, nie mam zamiaru odbierać ci życie, choćby może było dobrodziejstwem gdyby ci go kto odebrał.

— Nie, nie... ja... ja radbym go zachował, przerwał spieszno nieszczęśliwy Trott.

— Bardzo dobrze, rzekł stróż, kiedy ci tak do smaku... każdy według swego upodobania, jak mówił ów co wypił truciznę. Ale słuchaj co ci powiem: siedź tu na tem krześle, a ja usiędę na przeciwko ciebie... będziesz zachowywał się spokojnie i nieruszał z miejsca, to ja ci nic niezrobię... jeżeli zaś podniesiesz tylko o jeden cal w górę nogę lub rękę, to ja ci cerę twej twarzy tak doskonale przemienię, że gdy po raz pierwszy popatrzysz się w lustro, sam siebie zapytasz, czy to ten sam Trott co był wprzódy, czy jego dawniejsza twarz kiedy powróci. Tak więc radzę ci po przyjacielsku siedź cicho.

— Dobrze, dobrze, wybąknął nieszczęśliwy Trott, usiadł na wskazanem krzesełku a stróż z laską w pogotowiu na wszelki przypadek tuż naprzeciwko niego.

Leniwo i nudno upływały następne godziny; wybiła dziesiąta, a dopiero o wpół do pierwszej nastąpić miało spodziewane wybawienie. Przez pół godziny jeszcze niejaki ruch w domu i odgłos żyjących istot na ulicy osładzały niemiłe położenie pana Trott, lecz po dziesiątej stało się ono prawie nie do wytrzymania. Stróż wstawał od czasu do czasu dla poprawienia światła, siadał jednakże natychmiast znowu naprzeciwko więźnia jak wprzódy; a ponieważ w sam czas przypomniał sobie iż mu ktoś opowiadał że we wzroku człowieka spoczywa nieodporna władza utrzymywania na wodzy obłąkanych i powściągania ich zapalczywości, ciągle więc bez przerwy trzymał swe jedyne oko wlepione w oblicze swojego pupilla. Nieszczęśliwy z swej strony patrzał na niego osłupiałym wzrokiem, dopóki mu się w oczach niezaćmiło, a stróż jakby mgłą owiana mara w olbrzymiej postaci przesuwał się przed zamgloną źrenicą. Usnął nakoniec, i dopiero turkotem na ulicy i wykrzyknieniem, *postchaise* dla nru. 25., został przebudzony. Nastąpił ruch w domu, słychać było stąpanie po wschodach, drzwi się otworzyły a pan Józef Overton z orszakiem czterech barczystych ludzi za którymi postępowała misstriss Williamson, gospodyni z Winglebury-Wappen, wszedł do izby. *Dokończenie nastąpi.*

Nowości literackie.

Nakładem Kajetana Jabłońskiego we Lwowie, wyszły następujące dzieła w tym roku:

Elektorów poczet, którzy niegdyś głosowali na elektów: Jana Kazimierza roku 1648, Jana III r. 1674, Augusta II r. 1697 i Stanisława Augusta r. 1764, najjaśniejszych królów polskich, wielkich xiążąt litewskich itd. itd. itd. Ułożył i wydał Oswald Zaprzaniec z Siemuszowej Pietruski. 4to (maj.) Lwów 1845, obejmuje 59 arkuszy druku. Cena 5 złr.

Kronika miasta Lwowa, przez Dionizego Zubrzyckiego. 8vo (maj.) Lwów 1844. 4 złr.

Farmazon przez autora powieści Jadama, druga część 12mo Lwów 1844. 1 złr.

Zeno, powieść przez autora Farmazona. 2 tomy 12mo Lwów 1845. 1 złr. 30 kr.

Drukują się:

Żaki krakowskie J. I. Kraszewskiego.

Studia historyczne litewskie: Stryjkowski i jego kronika krytycznie obejrzana przez J. I. Kraszewskiego.

Badania w przedmiocie rzeczy przyrodzonych w Galicii, w Królestwie polskiem, na Wołyniu i na Podolu, z przydaną mapą geognostyczną.

Dokładna nauka czyszczenia i naprawiania obrazów, olejnemi wodnemi i suchemi farbami malowanych itd.

Dzieje Królestwa polskiego, krótko porządkiem lat opisane.

Sylva Rerum, Jadama, zeszyt II i III.

Na wsparcie włościan klęskami wylewu rzek i nieurodzaju najsrożej dotkniętych, wyjdzie najpóźniej z końcem sierpnia r. b. pismo zbiorowe pod nazwą:

WŁOŚCIANIN.

do którego chlubnie znani pisarze tutejsi podjęli się prac swoich dostarczyć.

Niniejszem ogłoszeniem zapraszam do udziału w wykonaniu tej myśli tak piszących przez rychłe nadesłanie artykułów, jak wszystkich przyjacioł ludzkości przez liczne i spieszne rozebranie przedpłaty, aby się prędzej cierpiącej braci pomogło.

Xięgarnie lwowskie i na prowincii przyjęły na siebie, bez wynagrodzenia, zbieranie przedpłaty po 2 złr. m. k. za egzemplarz, nie kładąc tamy dobroczynności. Po zamknięciu przedpłaty z końcem lipca, cena egzemplarza się podniesie.

Wydawca *T. Wasilewski.*

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.